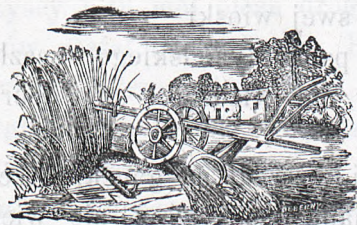


Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1., 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 złr. w. a., półrocznie
1 złr. w. a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Uczciwość nagrodzona.

(Ciąg dalszy.)

Pan Mycielski, wsiadłszy na koń, najkrótszą drogą puścił się do Krakowa. Zostawił konia w zajeździe, a sam puścił się na miasto i rozpytywał wszędzie. Rozesłał po wszystkich zajazdach, — rozpytał wszystkich znajomych — daremnie, nigdzie śladu właściciela złotego krzyżyka. Całe dwa dni stracił na poszukiwaniach. Nareszcie trzeciego dnia udał się do redakcyi gazety „Czasu“, aby tam wiadomość o zgubie wydrukowali. Jak tylko powiedział, że w torbie znalezionej znajdował się złoty krzyżyk, natychmiast oświadczył mu pisarz Czasu, że właśnie dzień przedtem był jakiś pan, który zdaje się też torbę zgubił, bo także prosił o zawiadomienie o zgubie, i wielką nagrodę dla znalazcy obiecał.

„Gdzież ten pan? zapytał pan Mycielski.

„— Już musiał odjechać, odrzekł pisarz Czasu, — bo kazał, aby w razie odkrycia zguby do Lwowa mu przesłać pod adresą: „Pan Antoni Stanton“.

„Ha, dobrze, to napiszę do niego, bo to jego musi być torba. Mój Boże, Antoni Stanton! Mój syn zwał się Antoni, ale Stanton, to chyba Anglik jakiś....

I wyszedł z redakcji pan Mycielski dziwnie wzruszony. Poszedł do zajazdu, napisał list do Lwowa, a sam dosiadł konia i wrócił do swej wioski

Za powrotem pana Mycielskiego, zesła się ciekawa drużyna wieśniaków, nie wiedząc, czy dobrą czy złą nowinę przywozi.

Pan Mycielski wyszedł na ganek, i rzekł do gromadki:

— Moi kochani, sam teraz nie wiem co mam sądzić o tem wszystkim. Właściciela zguby odszukałem, ale czy dla mnie z tego pożytek pożądaný, nie wiem. Jakiś pan Stanton zgubił tę torbę, daj Boże by on mię mógł oświecić z kądem do tego krzyżyka przyszedł, który był własnością żony mojej, a później straconego syna mego.

Włościanie pokłonili się staremu panu i rozeszli się. Za kilka dni trąbka pocztowa ozwała się przed dworem. Zajechał wóz pocztowy, i rażny z niego wyskoczył młodzieniec.

— Czy tu mieszka pan Tadeusz Mycielski? zapytał służbę.

Zanim służba mogła odpowiedzieć, wyskoczył pan Mycielski z domu, i bystre oczy wlepił w młodzieńca.

— Ja nim jestem, rzekł pan Mycielski, —

— Pan... krzyknął młodzieniec, pan!... o ojczy mój! i padł w ramiona pana Mycielskiego.

Pan Mycielski osłupiał na razie, uściskał przybyłego, wpatrzył się w twarz jego, i długo spoglądał mu w oczy, nareszcie krzyknął:

— To ty! mój Antoni, mój synu stracony... tak, to ty, to rysy nieboszczki matki twej. Cudowny, wielki Boże, na starość dajesz mi szczęścia dożyć! po tylu latach płaczu i smutku!

I powtórnie uściskał syna swego, i całował i płakał. Włościanie, którzy na odgłos trąbki pocztowej do dworu przybyli, patrzyli mokrem od łez okiem na tę radość ojca z odnalezienia syna. Nikt nie wiedział, że syn ten żyje jeszcze, wieść chodziła, że dzieckiem porwali go cyganie i daleko uprowadzili. O dalszych losach dziecka nikt nie wiedział, każdy myślał, że dziecko już nie żyje.

Stary pan wyprawił ucztę dla włościan. Gdy się wszyscy zeszli i pousiadali, znaleziony syn tak począł rozpowiadać:

— Wiecie wszyscy i ty mój ojcze drogi, żem dzieckiem jeszcze przez cyganów został ukradzionym. Błąkali się ze mną cygani długo po świecie. Przez różne wsie i miasta przechodziliśmy; nieraz cygani chcieli mię wypędzić od siebie, ale stara jedna cyganka zawsze mię broniła i krzywdy uczynić nie dała. Jej to mam zawdzięczyć, że krzyżyk złoty mej matki przy mnie pozostał. Raz zaszliśmy do wielkiego miasta, nie pamiętam jak to miasto się nazywało — tu grali cyganie w zajeździe, dużo ludzi tańcowało, — a cyganie, traktowani ciągle, dobrze się podpili. Ja byłem śpiący i wlażem pod ławkę. Przespałem się, a obudziwszy się, zobaczyłem dzień biały, a cyganów ani widno. Gospodarz zobaczywszy mię, zaczął kląć strasznie i wyrzucił na ulicę. Wałęsałem się z jednej ulicy na drugą, wreszcie głodny i zmęczony siadłem na progu jednej kamienicy i począłem rzewnie płakać. Na głośny płacz mój zbiegli się słudzy, i nuż mię wypędzać. Na to nadszedł pan jeden z piękną panią, popatrzyli na mnie, przemówili, zapytali, a dowiedziawszy się o mojem nieszczęściu zaczęli coś szeptać między sobą. Potem pan ten, mój późniejszy dobrodziej, kazał mi wziąć do pysznego powozu, i pojechał ze mną daleko, aż nad jakąś wielką wodę. Ta woda, to było morze, jakem się później dowiedział. Wsiadliśmy na okręt i jechali długo. Nareszcie przybyliśmy znowu na ląd, i wysiedli w Ameryce w mieście zwanem Nowy Jork.

Tu pan Stanton, bo tak się nazywał mój dobrodziej, wziął mię do swego domu, kazał uczyć po angielsku i innych języków, przytem innych pożytecznych rzeczy. Tak minęło lat kilka na nauce. Gdym dorósł wstąpiłem za wolą pana Stanton do wojska. Byłem w wielu bitwach. Dosłużyłem się stopnia kapitana w wojsku amerykańskiem. Potem wystąpiłem z wojska i przybyłem do mego opiekuna. Tu mi pan Stanton oświadczył, że ponieważ nie ma dzieci, przyjmuje mię za swego syna, i nazwisko swe nadaje.

Już przedtem, nie znając nazwiska ojca mego, i tylko imię chrzestne Antoni pamiętając, nazywałem się Stanton.

W rok potem umarł pan Stanton i żona jego, rodem polka, zostawiając mi wielki majątek, jako przybranemu synowi swemu. Po śmierci ich ogarnęła mię wielka tęsknica. Tak bez nikogo, bez rodziców i przyjaciół żyć na wielkim świecie bożym, to strasznie, tęskno i nudno. Postanowiłem bądź co bądź wrócić do Europy, pojechać do Polski, rodziców mych odszukać, jeśli żyją jeszcze. Przyjechałem; ogłosiłem wiadomość we wszystkich gazetach, a nikt się nie zgłaszał do złotego kszczyka, który jedynym był sposobem znalezienia rodziców moich. Wreszcie postanowiłem całą Polskę przejechać, a swoich odszukać. Długo szukałem, w końcu szczęśliwy wypadek mi posłużył. Zgubiłem torbę z krzyżykiem, i w ten sposób, dzięki poczciwym ludziom, znalazłem ojca mego, i wioskę mą rodzinną....

Wieśniacy rozczuleni słuchało słów tych. Stary pan to syna całuje, to włościanom dziękuje za ich przywiązanie a troskliwość, to w końcu pyta o Skibę i syna jego.

— A jest tu Skiba, odrzekł stary Stach z boru, ale że to on nie z tej wsi, to i sroma się przystąpić!

— Zawołajcież go, niech przyjdzie, a wszak to syn jego szczęścia i życia mi przysporzył.

Wszedł Skiba z synem Jankiem i nisko się poklonił. Stary pan rękę mu podał i serdecznie uścisnął.

— Patrz synu, rzekł stary pan, otóż nasz sąsiad z Konopek gospodarz Skiba, jemu to masz zawdzięczyć wszystko. Jego to syn, jak ojciec, tak poczciwy, znalazł torbę twoją oddał nie tknąwszy, a przezto tylko tyś mię mógł odszukać.

Pan Antoni Stanton rękę wyciągnął do poczciwego wieśniaka, i rzekł:

— Sercem całym witam, i poznaję wasze złote serce, gospodarzu Skibo, Bóg wam szczęść, miły bracie Skibo! Jak wam Antoni na imię, tak mnie na imię, tak i moje imię — jak mię ludzie obcy przyjęli, tak pozwólcie bym waszym synem się opiekował i na człowieka go pokierował.

Stary Skiba na prawdę się rozplakał, rękawem łzę ociera z oka a mówi:

— Mily panie młody, Bóg wam zapłać za wasze chęci,.... od tak dawna syn mój pragnie lepszej doli, bo nauki pragnie. Ta jeśli wasza w tem dobra chęć a wola, to choć z żalem go pobłogosławię, a wyprawię i wam dam na opiekę, ta i naukę.

Długo i różnie jeszcze prawili wszyscy — w końcu rozeszli się. Janek pozostał we dworze, a później młody pan wyprawił go do szkół do Krakowa. (D. n.)

Nam jako tako!

Nam jako tako! ciche poddasze
Łacno przed wiatrem — deszczem uchroni;
Nam jako tako! — bo serce nasze
Od dziennych zmartwień chwila snu wzbroni.
 Nam jako tako! w ciężkiej niedoli,
 Z szaloną pieśnią przy pełnej czarze
 Nieraz zapomnim, że serce boli
 Poniesiem szczęście, choć szalu w darze.

Nam jako tako! choć łez do licha;
Często ból ciężki dziewczę uśmierzy:
„Bóg litościwy!“ — poszezcze z cicha,
I jakoś jemu serce uwierzy.

 Nam jako tako! na własnej ziemi:
 Ojciec i matka pieszczot nie szczędzi,
 I cierpieć milej między swojemi,
 A choć i umrzeć — na własnej grzędzie!

Ale kto losu burzą pędzony
Tulać się musi drogą żywota,
Któż w obce pójdzie pocieszać strony,
Gdy go za krajem porwie tęsknota?
 Któż się zlituje między obcemi?
 Kiedy zawoła w chwili skonania:
 „Chociaż piędź ziemi! garstkę mej ziemi
 Podajcie ludzie do pożegnania!“

O! biednej duszy ostatnie słowa
Na obcej ziemi — któż tam zrozumie?
Dla nich dźwięk obcy jest polska mowa;
Więc bez współczucia z wiatrem przeszumi.

Tygrys.

W minionym numerze podaliśmy wam rysunek lwa i opowiadanie o nim. Teraz znowu słów kilka o tygrysie powiemy, i obrazek do tego załączamy. Tak jak lew, należy i tygrys do rodzaju kotów. Koty wszystkie są drapieżne, zdobycz swą chwytają w skoku, do czego im pazury ostre wybornie posługują. A pazury to nie lada, bo nie na wierzchu jak np. u psa, i innych zwierząt, ale skryte. Dopiero w potrzebie zwierzęta z rodzaju kotów te pazury wystawiają. Najdrapieżniejszym z kotów jest tygrys. Jest on najbardziej krwiożerczem zwierzęciem na całej ziemi naszej. Gdy lew, jak to powiedzieliśmy w ostatnim numerze, tylko tyle morduje, ile mu dla zaspokojenia głodu potrzeba, tygrys swej drapieżności nie zna granic. Lew na człowieka tylko zaczepiony się rzuca, — tygrys zawsze i wszędzie, choćby jak nasycony był, wszystko, a więc i człowieka chwytą, rozdziera i morduje. Dlatego też mówimy nieraz o człowieku okrótnym, że ma tygrysie serce.

Co do wielkości prawie dorównywa tygrys lwowi, tylko, że ciało jego bardziej jeszcze wysmukle i zwinne. Okazałe i piękne to zwierze. Barwa jego sierci krótkiej jest czerwonożółta, ozdobiona czarnymi pręgami przez całe ciało, spodem zaś jest biały. Pazury jak powiedzieliśmy, ma wsuwalne, do tego kły nadzwyczaj ostre i silne. Żyje tygrys wyłącznie w części świata zwanej Azją, a mianowicie w Indjach wschodnich. Choć tylko w południowych, to jest gorących krajach przebywa, jednak zapuszcza nieraz swe zagony aż do południowej Syberyi. Gdy za łupem leci, żadna droga, żadna przeszkoda nie jest mu za wielką, ani za straszną.

Okropne są spustoszenia, które tygrys czyni. Pożera nie tylko bydło, konie, owce, ale jak powiedzieliśmy i ludzi. Jest on stokroć sroższym od wilka, który choć dzisiaj już rzadszy, nieraz w ostre zimy plagą jest wiosce w kraju naszym.

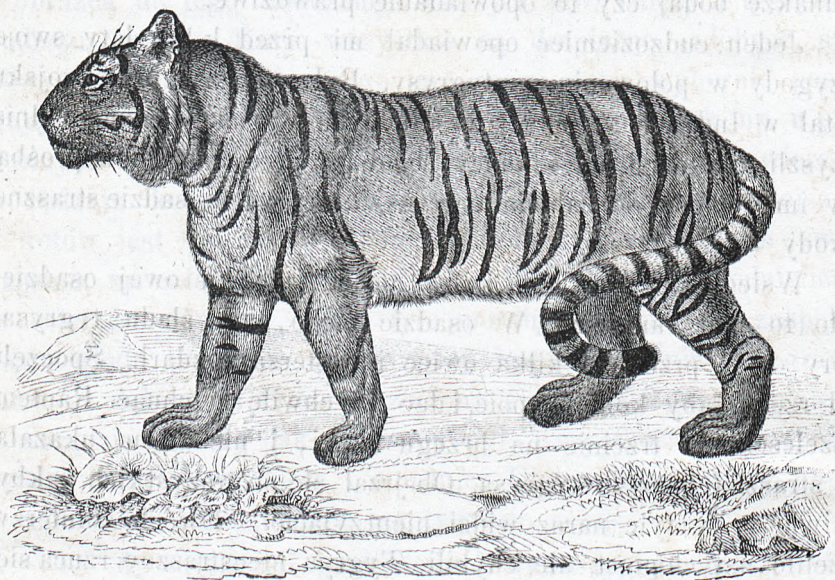
Siłę posiada tygrys tak wielką, że konia porwawszy z łatwością go wlecze, a z człowiekiem w paszczy bardzo rączy i szybko umyka. Raz miał tygrys porwać jednego oficera

z wojska angielskiego podczas polowania; ten oficer mając ręce wolne, wy dobył z za pasa pistolet i strzelił do tygrysa, ale chybił. Niezrażony tem, strzela drugi raz z drugiego pistoletu, i trafia tak celnie, że tygrys padł nieżywy, a oficer się uwolnił, i do swoich powrócił, choć pokaleczony ale żywy. Jednakże bodaj czy to opowiadanie prawdziwe.

Jeden cudzoziemiec opowiadał mi przed kilku laty swoje przygody w polowaniu na tygrysy. Był wtenczas przy wojsku i stał w Indjach w jednej z odludnych wiosek. Pewnego dnia przyszli okoliczni mieszkańcy, bladzi i przestraszeni z prośbą aby im pomódz do zabicia tygrysa, który w ich osadzie straszne szkody wyrządza.

Wsiedli wszyscy na koń i puścili się ku owej osadzie. Było to nad rankiem. W osadzie cicho, ani śladu tygrysa, który dzień przedtem kilka owiec i pasterza rozdarł. Spoczęli nad rzeką, aby konie napoić, i dać im chwilę wytchnąć. Raptem zaszeleściło w trzcinie na brzegu rzeki, i niebawem ukazała się straszna paszcza tygrysa. Obejrzał się po wszystkich, jakby zdziwiony, że tyle naraz widzi nieprzyjaciół. Dwóch żołnierzy strzeliło natychmiast, ale chybili. Tygrys nieustraszony rzuca się na najbliższego konia i wbiwszy mu ostre kły i pazury w szyję i pierś, konia na ziemię powalił. Biedny jeździec krzyknął z przestachu, i upadł przygnieciony ciężarem swego konia. Straszna to była chwila! Tu towarzysz leży i ani się ruszyć nie może — nad nim tygrys, co go lada chwila rozedrze, a ani rusz strzelać z obawy aby przyjaciela nie zastrzelić. Jeden z najodważniejszych podleciał z koniem aż na pięć kroków oddalenia, i z dwóch luf dubeltówki na raz do tygrysa wystrzelił. Szczeńciem wielkiem obie kule trafiły. Tygrys trafiony skoczył, ryknął przeraźliwie, i rzucił się w rzekę. Płynął z początku prędko, później coraz wolniej i słabiej. Krew lejąca się z ran jego zafarbowała wodę czerwono tam, którądy płynął. Wszysey puścili się z końmi w rzekę, chcąc go dalej ściagać. Tygrysyisko przepłynął jeszcze na drugą stronę rzeki, ale ledwie wylazł na brzeg, wnet się zatoczył, ryknął raz jeszcze, i padł nieżywy; kule przeszły mu pierś. Tożto była radość między mieszkańcami osady! Przepłynęli czółna-

mi na drugi brzeg rzeki, i tańczyli naokoło trupa tygrysa. Za konia nieżywego ofiarowali aż trzy piękne konie, a biednemu żołnierzowi za strach jego darowali kilka dukatów i skórę z zabitego tygrysa, zachowawszy sobie kły na pamiątkę. Dla wszystkich wyprawili świetną ucztę.



Kochani bracia! jak szczęśliwymi jesteśmy, że żyjemy w kraju w którym nie ma takich drapieżnych zwierząt, jak tygrysy, ani też gorąca, gór ogniowych, trzęsienia ziemi i tym podobnych plag które mieszkańców ciepłych krajów nawiedzają Kochajmyż tedy naszą ojczystą ziemię, nie tęsknijmy do obcych, choćby i złotych krajów, bo „wszędzie dobrze, a w domu najlepiej“, jak to nasze staropolskie głosi przysłowie.

Zakład, zwany „Bursa“ dla biednej młodzieży szkolnej w Tarnowie.

Nie mogę pominąć, aby wam kochani bracia wieśniacy nie wskazać pięknego objawu w dziełkach waszych po szkołkach uczących się. Patrzcie, jak wzniosłemi talentami ubogacił Stwórca niektóre dzieci. Gdyby nie szkoła takowe na jaw

wydobyła, byłyby marnie w ciemnocie zaginęły — wszak takie utalentowane dziecko stać się może przez dalsze nauki waszem szczęściem, i użytecznym członkiem swego kraju. Dzieci z dobrimi talentami zaniedbać kształcić, jest grzechem przeciwko Bogu i dobru Ojczyzny.

Tymczasem trafia się bardzo często, że takie utalentowane dzieci są ubogie, rodzice ich nie są w stanie dalej je do szkół posyłać. Aby temu zaradzić i nie dać takowym talentom marnie zginąć — znajdowali się, i do dziś dnia są szlachetni Dobrodzieje, którzy oceniając wartość nauki i życząc szczęścia Ojczyźnie, przeznaczili swe majątki na wspieranie zdolnych uczniów; więc uzdolnieni a ubodzy otrzymują tak zwane stypendyum czyli roczne wsparcie w pieniądzach. Inni szlachetni Dobrodzieje budowali zakłady dla uczniów pilnych a ubogich, gdzieby znaleźć mogli przytułek i uczyli się dalej na pożytecznych ludzi. Takie zakłady — czyli po staropolsku zwane „Bursy“ są w naszym Krakowie, gdzie do 100 ubogich chłopców ma przytułek, we Lwowie, a nawet i w innych miastach Galicyi, przez co ubodzy rodzice chcący synka dawać dalej do szkoły, mają wielką ulgę bo ich posyłanie dziecka do szkoły bardzo mało, a czasem i nie w takiej Bursie nie kosztuje. Pragnąłem i ja od dawna dać jakową pomoc utalentowanym chłopcom ubogiego dziś ludu naszego, szukałem serce temu celowi zbawionemu przychylnych a Bóg, który zawsze dobrym chęciom błogosławi — i mnie pobłogosławił, wskazał mi szlachetnych Dobrodziejów tak w okolicznych dworach, jako i w bogatszych wieśniakach i Duchowieństwie i zapomocą tychże Dobrodziejów wystawiłem w Tarnowie zakład, czyli Bursę w której zostało umieszczonych w zeszłym roku (1870) już od 1 września szesnastu ubogich a dobrze uczących się chłopców.

Zakład ten posiada jako swą własność ogród, stary domek i dom nowy obszerny. Zaczny właściciel miasta Tarnowa Książę Sanguszko dał na budowę nowego domu budulec ze swych lasów, poczciwi, wieśniacy z okolicy dali sześćdziesiąt fur bezpłatnie do zwiezienia tego drzewa. Rada miasta Tarnowa, inne rady powiatowe i gminne pieniądźmi przysły z pomocą. Bóg zapłać poczciwym dawcom. Uczniowie przyjęci do Bursy

tarnowskiej, otrzymują bezpłatnie stancję, światło, pranie, a co największa: należyty dozór i moralne wychowanie. O wikt i odzież muszą się teraz jeszcze rodzice lub opiekunowie starać, zakład bowiem jak na początku jest jeszcze ubogi i żadnych stałych funduszków nie posiada. Lecz da Bóg, że z czasem znajdą się Dobrodzieje, którzy ten małe zakład ofiarowany opiece S. Kazimierza, królewicza polskiego, swemi szlachetnemi ofiarami wspierać będą, a wtenczas i uczniowie w tymże umieszczeni wszystko bezpłatnie otrzymać mogą. Dałby Bóg, abyście moi drodzy Bracia wieśniacy ten drogi skarb oświaty pojąć i zrozumieć mogli, abyście tym, co przez tworzenie zakładów wam samym w pomoc iść pragną, chętną dłoń podali, abyście choć grosz wdowi dla pomocy zakładu przyrzucili, a przez to pójdziecie w pomoc samym sobie, bo dzieci z wiesek waszych w zakładzie umieszczone a tak uszczęśliwione, błogosławić wam będą. Ofiara bowiem dla wsparcia ubogich uczniów złożona ma dwojaką wartość, wartość przed Bogiem ku zbawieniu duszy, wartość w obec Ojczyzny, której uczonych ludzi potrzeba.

To pragnąłem Wam oznajmić, i tuszę sobie, że słowa moje utkwią w sercach waszych i pomyślny skutek odniosą. Jeżeli więc w wioskach waszych znajdują się dzieci biedne a z dobrymi talentami, nie żałujcież iść im w pomoc, a taka ofiara wasza będzie skarbem przyszłej waszej doczesnej i wiecznej szczęśliwości. Biercie sobie przykład z ludu na Szlązku żyjącego — gdzie panuje ten piękny zwyczaj, że gdy się trafi we wsi lub miasteczku ubogi student pragnący się dalej kształcić i ma dobre talenta, to cała wieś składa się na niego, aby został użytecznym człowiekiem. Byłem naocznym świadkiem na Szlązku pruskim, jak wójt zbierał składkę aby z tej wioski klerykowi we Wrocławiu się uczącemu a sierocie na kolej posłać, żeby na wakacje przyjechał.

Przyjmijcież te słowa moje jako wdzięczny dar kapłana polskiego, który pragnie waszego uszczęśliwienia i zachowajcie je na zawsze w poczciwych i wierzących sercach waszych.

Ks. Kazimierz Mikulski.

Rada gospodarska.

Zabezpieczenie od ognia. Nieraz już zwracał Dzwonek uwagę na wielkie szkody powstające z przyczyny pożaru. Podawaliśmy przytem jeden możliwy środek wynagrodzenia sobie szkód przez ogień powstałych. Jużto przedwszystkiem, bracie, uważaj bacznie aby ci się pożar do chaty nie zakradł i twego mienia nie zniszczył. Kładąc się do spoczynku, światła pogasić, ognia w piecu nie zostawiać bez dozoru, pilnować aby się ludziska z fajkami po stodołach i szopach nie włóczyli. Zapalki chować w miejscu wysokiem a bezpiecznem, aby dzieci do nich się nie dostały, i z ogniem nieżartowały. Jużto dużo pożarów powstało z przyczyny nieuwagi na dzieci, które nierozważnie z ogniem igrając, nieraz zagrodę podpaliły. Ale wszystkie te środki ostrożności nieraz nie pomogą. Czasem, gdy u sąsiada gore, wiatr głównię przyniesie, — a od złego człowieka, to się i nie ustrzeżesz, kiedy w przystępie złej myśli chatę twą podpali. — Otóż pilnuj się, bo strzeżonego Bóg strzeże, a przytem niezapominaj o środku jedynym, który w razie, broń Boże nieszczęścia, twą szkodę ci powróci. Istnieją towarzystwa, tak zwane asekuracje to jest zabezpieczenia od ognia, które za małą opłatą roczną, w razie nieszczęścia, szkodę powstałą przez ogień powracają. Powie niejeden: a to nowy podatek! — Nieprawda bracie, — bo w razie nieszczęścia za tych głupich kilka ryńskich, co zapłacisz, to ci całą szkodę wynagrodzą. A choćbyś i przez dwadzieścia lat płacił, i przez cały czas szkody nie miał, to może w dwudziestym pierwszym roku pożar cię nawiedzi. A gdyś wolny od szkody ogniowej, o to dziękuj mocno Bogu, bo wiesz co się z twoim groszem stało? Myślisz, że przepadł? nigdy! oto twoim groszem wspomóżono tylu pogorzalców, co z tobą razem płacili. Ich grosz znowu na ciebie spaść może w nieszczęściu. Więc sobie dobrze robisz i innym. Oto korzyść dla siebie, a zasługa przed Bogiem. A wiecie czytelnicy, dlaczego się dziś o tem rozgadałem? Oto, bo w ostatnich czasach bardzo dużo było pożarów po wioskach a największa część spalonych budynków nie była zabezpieczoną. I tak: dnia 7. stycznia zgorzała w Strzyłkach w powiecie staromiejskim zagroda włościańska. Przyczyna pożaru niewiadoma.

Szkoda (niezabezpieczona) wynosi 300 złr. Dnia 15go stycznia zgorzało w Samokłęskach w pow. jasielskim sześć zagród włościańskich. Przyczyna pożaru niewiadoma. Szkoda (w części tylko zabezpieczona) 4300 złr. Dnia 16. stycznia zgorzała w Zawoju w pow. myślenickim zagroda włościańska. Przyczyna pożaru była nieostrożność. Szkoda wynosi 425 złr. Dnia 18. stycznia zgorzała w Rydodubach w pow. czortkowskim zagroda włościańska. Przyczyna pożaru była nieostrożność. Szkoda (niezabezpieczona) wynosi 350 złr. Dnia 23. stycznia zgorzała pod Łańcutem zagroda włościańska. Przyczyna pożaru była nieostrożność. Szkoda (niezabezpieczona) wynosi 660 złr. Dnia 26. stycznia zgorzała w Ilniku w pow. turczańskim zagroda włościańska. Przyczyna pożaru niewiadoma. Szkoda wynosi 300 złr. Dnia 27. stycznia zgorzała w Osobnicy w powiecie jasielskim stodoła włościańska. Przyczyna pożaru niewiadoma. Szkoda wynosi 150 złr. Dnia 28. stycznia zgorzała w Libuchorce w powiecie turczańskim zagroda włościańska. Przyczyna pożaru niewiadoma. Szkoda niezabezpieczona wynosi 200 złr. Dnia 28. stycznia zgorzała w Wiśniowej w pow. ropczyckim zagroda włościańska. Przyczyna pożaru niewiadoma. Szkoda (niezabezpieczona) wynosi 700 złr. Dnia 31. stycznia zgorzał w Pstrągowej w pow. ropczyckim dom włościański. Przyczyna pożaru niewiadoma. Dnia 5. lutego zgorzała w Sowlinach w pow. limanowskim zagroda włościańska. Przyczyna pożaru była nieostrożność. Szkoda wynosi 300 złr.

Otóż w jednym miesiącu, i w zimie do tego tyle szkody! Dlatego radzimy wszystkim komu na tem zależy, odłożyć tych trochę pieniędzy, a zabezpieczyć swoje budynki. Najlepiej to uczynić w towarzystwie krakowskiem pod wezwaniem Ś. Floryana patrona od szkód ogniowych. W każdym miasteczku są urzędnicy tego towarzystwa, którzy wszystko, co tylko przez ogień zniszczonem być może, a więc chaty, stodoły, zboże, sprzęty itp. za małą opłatą zabezpieczają. Za marnych 60 kr. na rok ubezpiecza się szkody na sto reńskich; — i tak od każdej setki płaci się po 60 kr. rocznie, i człowiek spi spokojnie, bez strachu i obawy, żeby pożar z niego nie zrobił żebraka.

Rozmaitości.

— Niedbałe gminy. Jak z prawdziwą przyjemnością podajemy dobre przykłady i czyny piękne ludzkie i gmin całych, tak przykro nam dziś podać do wiadomości smutną oziębłość dla oświaty gmin Książnicy i Goleszów w powiecie Mieleckim. W gminach tych od 50. lat szkołka była zaprowadzoną i utrzymywała się. Teraz gdzie przy nowych urządzeniach gminnych szkołka się podnieść powinna, — gminy tamtejsze nie chcą mieć szkołki u siebie, i rok już trzeci mija, jak szkołka pustką stoi. Pan M. Toczyński z Podleszan zaprowadził tam czytelnię i biblioteczkę założył; zaprenumerował pisma ludowe, lecz włościanie nie przychodzili i nie uznawali, że to dla ich dobra. Podajemy to wam do wiadomości, i spodziewamy się, że włościanie tamtejsi, a szczególnie urząd gminny, przeczytawszy to w Dzwonku, do serca sobie wezmą słowa nasze, i naprawią złe, — a nam dadzą sposobność w krótkce inaczej o nich napisać.

— Piękny przykład. Jak przykro nam było podać wam fakt powyższy, tak znowu lepszą możemy wam opowiedzieć nowinę. Tamci szkołkę już istniejącą i to przez lat 50 zaniedbali, a tu z drugiej strony Bóg nas pociesza. Oto przyjaciel mój przyjechał i opowiadał mi różne rzeczy o dobrym bycie włościan, o powodzeniu moich znajomych, a przytem wspominał i o poczciwych wieśniakach w Zarzeczcu. Tam w Za-

rzeczcu, w parafii Dębowieckiej, zebrała się rada pod przewodnictwem wójta Jana Wojtunika, i radziła Ale nad czem radziła? Otóż nie nad tem, aby proces dworowi wytoczyć, albo pognać sąsiadów, albo inne sprawy załatwić, ale radziła nad założeniem szkołki parafialnej, wszyscy zgodzili się na konieczną potrzebę szkołki; zaraz potem ugodzili miejscowego organistę na nauczyciela. Organista ten, to człowiek uzdolniony; nie zdał on wprawdzie egzaminów, bo mu wypadki nie pozwoliły. W roku 1863 dzielnie bił Moskali, za to też włościanie mu się odwdzięczyli i uprosili go na nauczyciela swoich dzieci. Kto Polskę kocha, powiedziała rada, ten nasze dzieci dobrze poprowadzi, i z nich dobrych ludzi porobi. Dali mu zapłatę nie wielką, bo ubogą wioskę na nie wiele też stać. Jeden z acny włościanin, nazwiskiem Franciszek Michnał odstąpił bezpłatnie na czas jakiś wolne swoje pomieszkание na szkołkę. A jaka ochota w całej wiosce! Zaraz z początku 70 dzieci obojej płci zebrało się. A już to co słusze to słusze, to i powiedzieć się godzi: oto najwięcej popierał radny Jędrzej Mastej założenie szkołki. On wprawdzie dzieci nie ma, ale całą duszą rzucił się na utrzymanie szkołki i jak może dopomaga. Dzięki ci za to kochany i szlachetny wieśniaku, — który mimo przeszkód i nieprzyjaciół nawet o dobro twoich braci waleczysz i starasz się. Bóg ci do-

pomoże. Jeszcze musimy wspomnieć, że jeden z mieszczan Dębowieckich, pan Jan Paukiewicz na opał szkoły sąg dzewa daremnie ofiarował. Tylko dobrodziejów brak na wybudowanie osobnego budynku na szkołę. Ale bracia kochani z Zagorza, nie oglądajcie się na dobrodziejów. Ot zbierzcie się panowie radni gminy, i inni wieśniacy, weźcie z sobą

zaczęto plebana waszego, księdza Jana Kopystyńskiego i dalej do dworu z proźbą o szkołę. Nie dadzą wam pomocy, mniejsza z tem; ten niech da grunt, ten drzewa na budulec, ten niech siekiereę weźmie w rękę a popracuje, ten bodaj gonty a chociażby i słomy na poszycie da, a stanie szkoła i Bóg pobłogosławi.

Złote ziarna.

Kto porządnie wszystko czyni,
Siebie, drugich nie obwini.

Szanuj życie to rzecz droga;
Dłużej żyjesz, dłużej chwalisz Boga.

Szczęście ulatą, cnota zostaje;
Lepsze nad złoto dobre obyczaje.

Za to, coć Bóg udzielił, oddawaj mu dzięki.
A na cudze nie ściągaj, ni myśli — ni ręki.

Dodatek polityczny.

Francya. Podług nieszczęść, jakie Francję przez dziki najazd Prusaków uawiedziły, mogliście zapewne już osądzić, że wkrótce się ta nieszczęśliwa wojna, skończyć musi. I rzeczywiście możemy już tę wojnę za skończoną uważać. — Tysiące ludzi padło ofiarą — tysiące okaleczało — tysiące wdów i sierót, pozostało, które nie mają nawet kęsa chleba — a mimo to Prusaki nie zważają na tę biedną Francję i żądają od niej tyle, że aż ból serce przenika, gdy się to czyta.

Otóż teraz, jak się Paryż poddał, układają się o pokój. Prusak byłby chętny jeszcze ostatki sił Francyi rozbić, resztę ludzi zmarnować, ale jego własni biedni ludzie, którzy także nie wiedzieli, za co się bić mają, tak już umęczeni i tak sterani, że im się już wojaczki nie chce. Ale Prusak to tak jak wilk. Napił się krwi i więcej mu się zachejało; nabrał pieniędzy i jeszcze mu za mało. A że już bić się nie może, bo żołnierzom się bić nie bardzo chce, to chce jeszcze pokojowym sposobem odbić na Francuzach to, coby był jeszcze mógł narabować. Dlatego to, jak się zeszli Francuzi i Prusaki, aby o pokoju pomówić, pruski kanclerz, to niby tak, jak pierwszy po królu albo cesarzu, nazwiskiem Bismark, zazaądał aż trzy tysiące pięćset milionów talarów za to, że Francyę obrabował i do tego jeszcze dwie prowincye takie, jak pół naszego kraju. Te oba kraje t. j. Alzacya i Lotaryngia nie chcą na to przystać żadną miarą, booni Francuzi, i wiedzą, żeby im potem Prusaki sobie wodę nosić kazali. A potem, przecież wiemy, jakto gorzko być od swoich oderwanym; — oj nie raz nam się da we znaki, jak to człowiek heń daleko i od matuli, i od ojca i od brata. To też i im byłoby tak przykro, a to jeszcze przykrzej, boby im Prusaki jeszcze wkrótce i mowę odebrały. Zwolali ci panowie, co to Francyą rządzili, jak wypędzili Napoleona, niby taki sejm i puścili i Prusaki posłów z tych krajów, które zabrały, na ten sejm. Radzą tam radzą i większość uradziła zrobić pokój, ale aby nie dać ziemi swojej. Jak to Bismark usłyszał, dalej hałasować i grozić, że wszystkie fortece, które Prusaki zajęli, da zburzyć jakoteż i mury naokoło Paryża. Zaczął zaraz pisać do francuskiego rządu, że, jak chcą, to dobrze — będzie wojna dalej trwała, ale przedtem pójdą Prusaki do Paryża a król ich, co się teraz nazwał cesarzem, będzie sobie tam przez jakiś czas mieszkał. Teraz dopiero Francuzi w kłopotcie — co, tu robić? czy bić się dalej, czy dać wrogowi na pastwę swych braci? — Bić się trudno, bo gotowe Prusaki Paryż zabrać i zrabować, a zabrali już od Paryża cały milion talarów a serce się kraje oddać Prusakowi takie dwa ładne kraje. Ale Francya taka teraz biedna, taka zubożała taka pobita, że trudno aby się bila — i trzeba będzie oddać

kraj piękny i przedtem bogaty swojemu wrogowi. I tak też dlatego możemy się spodziewać, że pokój, chociaż smutny niezabawem stanie.

Lecz chcę przestać Wam pisać o tej okropnej wojnie, a doniosę Wam pokrótce o tem, co się u nas dzieje.

Austria. Oto, jak Wam wiadomo, domagają się niektóre kraje w Austrii samorządu takiego, jak mają n. p. Węgrzy: Inasz kraj domagał się przez Sejm swój większego samorządu. Tak samo też Czesi. Jak długo byli Niemcy ministrami, t. j. najwyższymi prócz Najjaśniejszego Pana, a jak długo mieli Niemcy większość w Radzie państwa t. j. w tym wielkim sejmie, do którego posłowie wszystkich austryackich krajów zjeżdżać się mają, a który prawa wydaje, to wszystkim tym krajom nie dać nie chcieli. I widział to nasz monarcha, że Niemcy nas krzywdzą, dlatego uwolnił tamtych ministrów od służby, a przybrał sobie do swojej Rady takich, którzyby te kraje mogli zadowolnić. Między tymi nowymi ministrami był także Alfred hr. Potocki, po którym się spodziewano, że rzeczywiście wszystkie żądania zaspokoi. Lecz i jemu się nie udało to uczynić, a widząc, że jego zabiegi daremne, prosił Cesarza, aby mógł powrócić nazad na swoje posiadłości. Cesarz mu też to pozwolił, a wybrał sobie nowych doradców czyli ministrów, ażeby ci ugodę z Czechami i z Galicyą przeprowadzili. Nazwiska tych, nowych ministrów podaliśmy wam w ostatnim numerze. Otóż ci ministrowie wydali takie pismo, co to program nazywają, i napisali w niem, co będą robili. Dużo tam gadania, ale mało treści i zdaje się znowu, że nas z kwitkiem puszcza. Przeczytali oni czy wypowiedzieli to, co napisali, w Radzie państwa, która się w tym miesiącu zebrała, aby podatki uchwalić i postanowić pobór rekruta na ten rok. Co rząd chce, to tam, zdaje się, zrobią, a my sobie będziemy znowu czekali na to, czego cały kraj nasz żąda, czego nam potrzeba. I pójdzie i to ministerjum, a nam Niemcy po nosie jeździć będą. Ale nie trzeba tracić nadziei, — i da Bóg, że się i nad nami los wreszcie zlituje i że nam to dadzą, czego nam potrzeba, bo Opatrzność opiekuje się łaknącym i pragnącymi, a my łakniemy i pragniemy swobody.